27

…ETOW LUDOWYCH 27.

J. I. KRASZEWSKI

W OKNIE

NAUCZYCIELE SIEROTY

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

Cena 8 kop.

Biblioteczka Uniwersytetów ludowych.

			Kop.
1.	Konopnicka Marya.	Dym	6
2.	» »	Banasiowa	6
3.	» »	Nasza szkapa	10
4.	» »	Niemczaki	6
5.	Żeromski Stefan.	Siłaczka. — Na pokładzie	8
6.	Prus Bolesław.	Antek	8
7.	» »	Na wakacyach. — Katarynka	8
8.	Orzeszkowa Eliza.	Siteczko. — Czy pamiętasz?	8
9.	» »	Babunia	8
10.	» »	Ogniwa	8
11.	» »	Panna Antonina	8
12.	» »	A... B... C...	8
13.	Sienkiewicz Henryk.	Janko muzykant. — Latarnik	6
14.	» »	Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły	8
15.	» »	Bartek zwycięzca	12
16.	Galle Henryk.	Czytanki polskie I.	30
17.	» »	Czytanki polskie II.	30
18.	Reymont Władysław.	Sąd	6
19.	» »	W porębie. — Przy robocie	8
20.	» »	Tomek Baran	12
21.	» »	Pewnego dnia	8
22.	Junosza Klemens.	Froim. — Zając	8
23.	Kraszewski J. I.	Łokiek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu	6
24.	» »	Upiór	10
25.	» »	Z dziennika starego dziada	6
26.	» »	Profesor Milczek — Rejent Wątróbka	6
27.	» »	W oknie. — Nauczyciele sieroty	8
28.	Rzewuski Henryk.	Kazanie konfederackie. — Ksiądz Marek (z Pam. Soplicy)	6
29.	» »	Tadeusz Rejten (z Pam. Soplicy)	6
30.	» »	Sawa. — Pan Borowski (z Pam. Soplicy)	10
31.	Sienkiewicz Henryk.	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) I.	10
32.	» »	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) II.	10
33.	» »	Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży)	8
34.	» »	Z puszczy amerykańskiej » »	8
35.	Prus Bolesław.	Kamizelka. — Michałko	8
36.	Dygasiński Ad.	W puszczy.	12
37.	» »	Wilk, psy i ludzie	10
38.	Junosza Klemens.	Wilki. — Wesołego	8
39.	Tetmajer Kaz.	Ksiądz Piotr	6
40.	Gomulicki W.	Chałat	8
41.	Żeromski Stef.	Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy	6
42.	Skarbek F.	Łukasz Stempel	6
43.	» »	Mundur. — Jaszczuł	6
44.	» »	Dwie siostry. — Przewoźnik	6
45.	Wilkoński A.	Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek który na własne oczy widziałem	6
46.	» »	Gorzkie wspomnienia	8
47.	» »	Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek.	6

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 27.

J. I. KRASZEWSKI.

W OKNIE

NAUCZYCIELE SIEROTY

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

KRAKÓW – DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

W OKNIE

Naprzeciw mojego domku w... miałem długo plac pusty, zagrodzony deskami i dotąd nie zabudowany, chociaż dokoła już stały dosyć pokaźne kamienice.

Ale pośpiesznie, jak grzyby, powyrastały one z ziemi w tej części miasta, odległej od głównego ogniska, która życia jeszcze nie miała i spodziewała się je pozyskać. Zbyt świetne nadzieje zawiodły spekulantów, i o ów nieszczęsny plac nikt się już nie kusił.

Widok z okien moich wcale miłym nie był. Zaniedbany grunt służył tymczasowo właścicielowi i sąsiadom za rodzaj śmietniska, na które zwożono wszystko, co gdzieindziej zawadzało. Oprócz tego, ponieważ plac był piaszczysty, kopano doły i dobywano piasek w potrzebie, który furami stąd zabierano.

Nie można sobie wystawić nic smutniejszego nad ten opuszczony, zapomniany kawałek ziemi.

Powierzchnia jego nierówna, poryta, porosła w lecie zielskiem nędznem, brudna — w jednym końcu garbiła się górami śmieci, w drugim zapadała w doły po deszczach, pełne gnijącego błota. Boki tych śmietnisk świeciły wszelkiemi resztkami i łupinami żywota, jakie tylko sobie wyobrazić można: skorupami garnków, szczątkami butelek, obłamkami talerzy, zrzynkami gnijących papierów, poszarpanem obuwiem, kośćmi zżółkłemi, popiołem i węglami.

Zsiadało się to w jednę masę dla przyszłych badaczów i archeologów, a drugiego roku już z nasion, które wiatry przyniosły, coś kiełkowało i zieleniało. Uważałem przez lat kilka, że zawsze prawie jedne i te same rośliny rozpoczynały wegetacyę, a po nich przychodziły i następowały szeregiem inne — w porządku niezmiennym.

W drugim końcu placu rosła jedna jedyna, stara, obłamana akacya, mizerna, biedna, u góry tylko zieleniejąca w lecie, rozpłatana na pół od wiatru.

Jak i czem ona tam żyła — jest jej tajemnicą. Popod nędznem ogrodzeniem gdzieniegdzie rosły jakieś krzewy, których rozpoznać nie umiałem. Plac miał też swych lokatorów, do których należały krety, myszy i szczury — nieliczne ptastwo.

Kiedy niekiedy otrzymywał ktoś pozwolenie złożenia tu desek, tarcic, opiłków, cegły; wówczas otwierały się wrota — plac zmieniał swą jednostajną fizyognomię nudną i smutną.

Unikałem, o ile mogłem, wyglądania przez okno w tę stronę, i długi czas jakoś plac pusty

wcale mojej nie zwrócił uwagi. Jednego dnia, przypadkiem rzuciwszy okiem, dostrzegłem ogromne stosy cegły, ustawione od ulicy i, co mnie najmocniej zdziwiło, kilku ludzi, którzy kopali.

Kupy żółtej ziemi wznosiły się już na prawo i na lewo. Domyśliłem się łatwo, iż naostatek ktoś na osieroconym tak długo placyku budować się ośmielił. Było to razem pociechą dla mnie i mogło trwożyć, bo sąsiedztwo domu stawiło zagadkę, co w tym i z tego domu być miało.

Nie każda kamienica jest miłą pod bokiem. Nie dziw, że potem z wielką ciekawością śledziłem cały postęp w budowaniu nowego domu.

Z fundamentów nic wnieść nie umiałem; bardzo szybko i niezbyt, jak mi się zdawało, starannie uwinął się z nimi budowniczy; dom, jak grzyb, do góry się podnosić zaczął. Niewielki, miał tylko pięć okien od frontu, a formy jego architektoniczne dosyć zwyczajne domyślać się kazały, że jak najoszczędniej murowano — prostą kamieniczkę, dla dochodu.

Pierwsze belki, które przywieziono, z drzewa nie bardzo suchego, cienkie, jeszcze mocniej mnie utwierdziły w przekonaniu, że dom ozdoby naszej części miasta nie przyczyni.

Mur z cegieł był cienki, cegła rozsypująca się i nieosobliwa. Starania nie widać było o nic, oprócz, aby to stanęło jak najtaniej, a może jak najprędzej.

Przed jesienią też dom był pod dachem, z takich cieniuchnych krokiewek skleconym, że mi się wierzyć nie chciało, iż dachówkę utrzymać potrafią.

Gdy do wykończenia przyszło — przekonałem się, że to będzie mieszkalne pudełko bez żadnych ozdób i najmniejszego starania, aby oko mile na niem spoczęło. Szła za to budowa niewypowiedzianie szybko, a nim zaczęto tynkować, już na płocie wisiała karta z napisem — »Do najęcia«.

Zima się w tym roku spóźniła tak, że domostwo przed mrozami stało już z zapadniętemi oknami, gotowe... na przyjęcie tych, co się w niem mieszkać odważą.

Jednego ranka zjawiła się na dole tablica, niewytwornie malowana, zwiastująca: »*Wyszynk rozmaitych trónkuw, wudek, pywa i t. d.*« Niewiele to było obiecującem, a sąsiedztwo takiego szynku bywa prawdziwem utrapieniem. Nie chciało mi się już patrzeć w tę stronę.

Wiedziałem tylko, iż w ciągu zimy, oprócz szynku na dole, nikt się do domu nie wprowadził.

Pośpiesznie nalepione tynki, od pierwszych mrozów popękane, stały się obrzydliwie plamiste; dom, choć nowy, powierzchowność miał odrażającą.

Deszcz, śnieg i pluchy zmywały napróżno wywieszone karty, oznajmujące, iż wszystko było w porządku.

Nadeszła wiosna, właściciel trochę ściany pomazał na nowo, zabrano się do uporządkowania podwórka i ogrodzenia, placyk przybrał nową fizyognomię — niefadną, ale znośną.

Kwiecień się juz rozpoczął, gdy jednego dnia rano spostrzegłem znanego mi z migdałowego surduta wyszarzanego właściciela nowej kamieniczki,

który prowadził z sobą kobietę średniego wzrostu, otuloną wielką, wyblakłą i wynoszoną chustką.

Gdy się zwróciła, mogłem tylko rozpoznać bladą i młodą twarzyczkę. Ubranie było ubogie, ale chędogie.

Trwożliwie, pośpiesznie dziewczyna z właścicielem weszła do wnętrza, i w chwilę potem ujrzałem gospodarza otwierającego okna drugiego piętra. Pokazywał i zalecał części mieszkania, tam się znajdującego.

Oględziny domu trwały dosyć długo, poczem kobieta sama już wybiegła szybko i, rzuciwszy okiem na dom raz jeszcze, bardzo przyśpieszonym krokiem puściła się ulicą i z oczów mi znikła.

Mogłem się jej teraz lepiej przypatrzeć. Twarzyczkę miała dosyć przystojną, lecz troski życia wyryły się na niej tak straszliwie, tak dobitnie, iż los nieszczęśliwy odrazu z niej wyczytać było można. Szła jakby przestraszona i nieprzytomna — zatopiona w myślach.

Ubiór czysty był niezmiernie ubogi, począwszy od obuwia do okrycia głowy. Nie widać w nim było najmniejszej kokieteryi, która nawet przy ubóstwie objawiać się umie; pomimo to wyglądała przyzwoicie, i nie było zaniedbania rozpaczliwego w ubraniu.

Zagadką było dla mnie, czy mieszkanie zostało najęte, ale po południu rozwiązała się ona, bo stróż zaczął myć okna, zamiatać i oczywiście przygotowywać pół pięterka na przyjęcie lokatorów.

Przez cały dzień następny trwały te przygo-

towania; trzeciego rano zajechał wózek biedny i ciągnięty przez dwóch ludzi, starego w łachmanach i chłopię bosonogie. Pełen był sprzętów, na które rzut oka starczył, aby poznać, że należały do ludzi nie tylko ubogich, ale najuboższych.

Były to nieodzownie potrzebne szafeczki sosnowe, stoły, stołki, łóżka, od siekiery przed laty wyciosane, połamane, łatane — sczerniałe... biedne nad wyraz wszelki... Wśród nich leżały węzełki, pościel, łachmany i strzępki różne, których użytku odgadnąć było trudno. Rozpoznałem części krosienek, deski, obszyte suknem, do prasowania, wałki do maglowania, kuchenne naczynia.

Wszystko było stare, poszczerbione i zużyte. Zaczęto wnosić te ruchomości na górę, wózek potoczył się nazad i raz jeszcze przywiózł ładunek podobny. Tu już i para skrzynek i kufer ze skóry odarty się mieścił.

Za tym wozem można się było i lokatorów spodziewać. Jakoż niebawem ukazała się młoda owa dziewczyna, tak samo przyodziana, jak pierwszym razem. Na nędznem, starem krześle z kółkami obok niej ciągnięto, a ona popychała też — siedzącego, skurczonego, obwiniętego kołdrą pstrą i dywanikiem podartym staruszka, który głowę miał na piersi bezwładnie zwisłą, tak, że twarzy jego wcale widać nie było i nic oprócz żółto siwych, długich, okalających ją włosów. Chustka kobieca otaczała jego ramiona.

Z jednej strony wózka tego była dziewczyna, z workiem dużym w ręku, z drugiej stara kobieta, która także usiłowała popychać — okrywały ją

niemal łachmany. I ona trzymała torbę w ręku, a zawiniątko jakieś pod pachą.

Z wielkim trudem wtoczyło się to na podwórko, a tu dopiero rozpoczęto dobywanie starca z krzesła, którego prawie na rękach do domu wniesiono. Jak później dostał się na drugie piętro, anim mógł, ani chciałem się przyglądać, tak mnie widok tej niedoli głęboko poruszył.

Wieczorem w jednem z okien zabłysło po raz pierwszy światełko, a cień na storze plamistej przesuwający się — przypominał postać dziewczęcia.

Przez długi czas nie miałem odwagi, przyznam się, spojrzeć na okno kamienicy. Nic też tam do widzenia nie było; nie przyozdobiono ich niczem, nie ukazał się ani wazonik, ni kwiatek, ni firanka.

W kilka dni później dostrzegłem tylko przy ostatniem oknie głowę dziewczęcia, pochyloną tak, że się domyślić było łatwo, iż w krosnach nad jakąś robotą pracowała.

Na ciemnem tle profil malował się bardzo wyraziście, jakby w dwubarwnej kamei; rysy były regularne, piękne, ale oblane niewypowiedzianym smutkiem.

Godzinami siedziała tak nieruchomie nad robotą; czasami znowu zrywała się co chwila, odwoływana od niej, i jakby każda minuta była jej drogą, powracała z pośpiechem, aby natychmiast oderwać się znowu.

Zaledwie siadła — już niespokojnie podnosiła

głowę i biegła. Znikała, ukazywała się niespokojna. Wszystko tam musiało być na jej rękach.

Na twarzy wyraz się nie zmieniał — nie widać było zniecierpliwienia — niepokoju, rysy, jak skamieniałe, nie poruszone, ani uśmiech rozjaśnił, ani zniechęcenie ich nie zmarszczyło. Starca ani staruszki w tem oknie, ani w innych nie widać było nigdy.

Czasami w popołudniowych godzinach dziewczyna, zawsze jednakowo ubrana, wyrywała się z domu pośpiesznie z jakiemś pudełkiem w ręku i, bardzo żywo biegnąc ulicą, znikała z oczów, tak samo śpiesząc, gdy później wracała.

Można było odgadnąć z tych niewielu oznak życie smętne i biedne, jakie tam prowadzono, którego dziewczę stanowiło jedyną podporę.

Ubóstwo nie ma przyjaciół, ludzie się do niego zbliżyć lękają, nie zawsze z obawy, aby mu nie potrzebowali przyjść w pomoc, więcej dlatego, że widok tej walki o byt jest smutnym.

Tu też do nowych lokatorów przez czas długi nikt nie przychodził, zresztą gości, jakich oni przyjmować mogli, trudno było rozróżnić od tych, którzy szynk na dole odwiedzali.

Upłynęło kilka miesięcy, lato nadeszło, a oprócz otwierających się teraz okien, w mieszkaniu żadna zmiana nie zaszła. W lipcu wszakże dziewczę mniej u krosien siedziało, nieustannie od nich odrywane, a po kilku tygodniach już tylko przemykające się pośpiesznie przez izdebki niekiedy się ukazywało.

Raz dostrzegłem znajomego mi dobrze doktora ubogich, który wsunął się do kamienicy na-

przeciwko. Czatowałem na niego, gdy powracał, aby się coś dowiedzieć, bo mnie to ciche ubóstwo zajmowało.

Pochwyciłem wychodzącego, aby spoczął u mnie.

— Masz, widzę, praktykę w sąsiednim domu — rzekłem, sadzając go w biblioteczce.

— Dopiero od dziś — odparł smutnie — biedna to praktyka, bo ja tam nic pomódz nie będę mógł, a...

Nie dokończył.

— Domyślam się wielkiego niedostatku — wtrąciłem.

— Nie mylisz się — rzekł doktór, zapalając cygaro i wzdychając. — Potrzeba koniecznie duszę jakąś miłosierną tam posłać — ale z tymi ludźmi trudno będzie, bo duma ich równa się ubóstwu... Nic od nikogo przyjąć nie zechcą. Byli niegdyś zamożni, a z przeszłości pozostało im uczucie godności, które nie dopuści ręki wyciągać. Panna Adela, pracując, zabija się, ojciec dogorywa, matka rękami pokurczonemi od reumatyzmu pończochy wełniane robi — głodem mrą, a przyjąć pomocy nie chcą.

— Znam ich oddawna — dodał doktór — ale mi, wyniósłszy się tu, znikli z oczów. Poczciwi, zacni ludzie: na nieszczęście, które ich dotknęło, wcale nie zasłużyli, znoszą je, nie szemrząc. Widok ten serce rozdziera...

— Nie mająż rodziny? nikogo?

— A! rozrodzoną bardzo i majętną — dodał doktór — ale bez serca. W takich warunkach przy-

jąć pomoc, w jakich ją ofiarowano, nie dozwalało poczucie godności własnej. Wszystko to smutno się skończy!!

— Mój Boże — przerwałem doktorowi — przecieżby też jakiś środek pomożenia w sposób delikatny mógł się znaleźć.

Lekarz ruszył ramionami i milcząco potrząsnął głową.

— Żal dziewczęcia, które się tak zmarnuje i zamęczy — dodałem.

— Żal — potwierdził doktór zadumany — tem bardziej, że takiego poświęcenia dla rodziców, takiej cichej, spokojnej ofiarności dziecięcia — trudno drugiej znaleźć na świecie.

Niewiele mając czasu, doktór spojrzał na zegarek i pożegnał mnie. Ciekawość, podbudzona teraz żywiej jeszcze, prowadziła mnie często do okna.

Nadeszła jesień, naprzód ta urocza, która czasem wiosnęby przypominała, gdyby liście z drzew nie opadały; potem słotna, zimna i dla starych, a chorych zabójcza.

Okna naprzeciwko stały zamknięte; nic widać nie było przez nie.

Zrana raz, w dzień wichru i pluchy, wbiegł do mnie doktór ubogich, jak powiadał, aby się ogrzać trochę. Siadł u komina i zadumał się smutny. Domyślałem się, że wracał z przeciwka. Na twarzy jego poczciwej malowało się to współczucie bezsilne, które przejmuje serce wobec nieszczęścia bez ratunku.

Nie śmiałem go rozpytywać, a on sam nie śpieszył wygadać się przede mną.

Napoiłem go herbatą. Kilka razy podchodził do okien zobaczyć, czy się nie wyjaśniło, ale prawdziwie jesienna słota bez nadziei szarym, wilgotnym płaszczem pokrywała wszystko. Świat stał mokry, zmarzły — zbiedzony, jak ludzie, drzewa, ogołocone z liści, zdawały się trząść od zimna.

— Byliście naprzeciwko? — spytałem.

— Tak jest — westchnął z cicha. — Staruszek nocy nie dożyje.

— Niema na to ratunku? — spytałem.

— Żadnego; było to przewidziane oddawna — rzekł doktór. — Kto wie, może to lepiej; przestanie się męczyć...

Nie dokończył, zatopiwszy się w myślach.

Gdym po wyjściu doktora poszedł do mojego okna wieczorem, spostrzegłem, że jedno naprzeciw było otwarte. Co to znaczyło, domyśliłem się łatwo...

Stary, którego widziałem niesionego w krześle, nie żył. W nocy kilka świeczek płonęło przy łożu, na którem spoczywały zwłoki, oczekując na trumnę. Okryta wyszarzaną narzutką, dziewczyna biegała ciągle, nie mając czasu płakać. Na niej jednej leżało wszystko, pogrzeb, przygotowania do niego, wydatki, oznajmienie urzędowe o śmierci, formalności... Aż do późna widziałem ją, z pośpiechem, zdyszaną, wymykającą się z domu, powracającą samą lub z kimś potrzebnym... a w nocy na piętrze widać było ruch nieustający.

Nim się rozwidniło, przyniesiono prostą trumnę.

Staruszki nie widać było; musiała bezsilna leżeć zapewne, a córka dzieliła się pomiędzy zmarłym ojcem a rozpaczającą matką.

Litościwi ludzie z dołu pomagali jej potrosze. Pogrzebu aniśmy w ulicy posłyszeli, ani postrzegli; był to pogrzeb nędzarza, na który się nikt nie ciśnie, bo nie ciekawym jest człowiek podobnego obrządu. Z urzędu i obowiązku przybywają ci, co muszą.

Przez cały ten dzień jeszcze okno pokoju, który zajmował, stało otwarte. Córka, z pogrzebu powróciwszy, nie ukazała się już, była przy matce. Pracującej przy oknie nie widziałem przez dni kilka, bo musiała zapewne siedzieć przy chorej. Doktór mój znajomy parę razy zachodził tu, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że matka chorować musiała. Nie wstępował jednak do mnie, aż zapukałem w szybę raz i dałem mu znak, że go proszę. Spojrzał na zegarek, bo czas miał wymierzony poczciwy staruszek, i szybko wszedł do mnie, nie zrzucając paltota.

— Nie chcecie nawet spocząć? — spytałem.

— Czasu nie mam — odparł, witając się — jesień zawsze roboty nam przysparza, szczególniej pomiędzy ubogimi. Dnia zamało, aby obowiązkom podołać.

— Stary umarł! — dodałem — a jednak zachodzicie tu.

— Teraz kolej na staruszkę — odezwał się doktór, siadając na chwilę. — Ci, których nędza do jednego przykuła łańcucha, najczęściej gdy śmierć porwie towarzysza, przeżyć go nie mogą.

Wątpię, ażeby staruszka długo pociągnęła. Nie wstaje już z łóżka. Strach pomyśleć, co się stanie z osieroconem dzieckiem, które też ostatkiem sił goni.. Pogrzeb ojca wyczerpał grosz, zapracować go niepodobieństwo...

— Ale czyż nikt w pomoc nie przyjdzie? — zapytałem.

— Pomoc przychodzi — szepnął lekarz — ale ona upokarza i dobija, a harda dziewczyna uważa ją za pożyczkę tylko, którą wrócić jest obowiązaną.

W kilka dni potem sprawdziła się przepowiednia doktora: staruszka skończyła życie. Pogrzeb był tak cichy i biedny, jak pierwszy...

Wieczorem w jednem oknie się świeciło, czuwała za niem biedna sierota.

Znając zacnego doktora, który nie tylko lekarstwami, ale radą i opieką, służył swej ubogiej klienteli, byłem pewnym, że nie opuści dziewczęcia, którego rodzinę znał; stosunki w mieście liczne dozwalały mu łatwiej, niż komukolwiek, znaleźć środki nie upokarzające zaopiekowania się sierotą. Ale z doktora dobyć coś nie było łatwo, bo się chwalić i mówić o tem, co czynił, nie lubił.

W kilka dni po pogrzebie staruszki, w oknie zjawiła się blada twarzyczka dziewczęcia, pochylona nad robotą. Teraz ją nic po całych dniach nie odrywało od niej. Nie wychodziła prawie z domu, i domyślałem się, że w szynku na dole żywić się czemś musiała.

Zrana, jak tylko dobrze rozwidniało, siadała do krosien, nie wstawała do południa, przerywała

pracę na czas bardzo krótki i wracała do niej; siedziała do wieczora, a potem przy zapalonej lampce prawie zawsze do późnej nocy.

Można było dostrzedz niekiedy, jak szybko ocierała łzy z oczów, aby na to czasu nie tracić. Nieruchomy ten profil ze swym wyrazem smutku skamieniałego robił takie wrażenie przejmujące, iż długo mu się przypatrywać nie było można. Co dni kilka wybiegało dziewczę na miasto z pudełkiem w ręku i, niedługo zabawiwszy, powracało. W stroju, w ruchach — w obliczu nic się nie zmieniło. Zdawała się tylko oswojoną z tym bytem i jakby bezmyślną; duszą była gdzieindziej.

O ilem mógł dostrzedz, do niej nie przychodził nikt przez całą zimę; i aż do wiosny lampka się paliła do późna, dziewczę wstawało ze świtem, a pracowało, gdy gdzieindziej wszyscy już spali.

Wrzawy i hałasy, które często całemu sąsiedztwu bardzo się niemile czuć dawały, bo szynki nocami napełniała gawiedź i włóczęgi — jej zdawały się nawet nie zwracać uwagi.

Z nadchodzącą wiosną, gdy się rok kończył mieszkania, jednego dnia nadszedł właściciel kamienicy.

Okna w mieszkaniu dziewczęcia pootwierano — ruch jakiś widać było, i drugie piętro opróżnione zostało.

Ponieważ nie widać było, aby sprzęty wynoszono, domyślałem się, iż biedna pracownica przeniosła się na poddasze.

Tak było wistocie, puste dotąd nędzne izdebki

na strychu ożywiły się tu twarzyczką, która w jednem z okien zasiadła u krosien i nanowo poczęła swą pracę Penelopy nieskończoną.

Jak sobie sama starczyć mogła, usłużyć, wydołać wszystkiemu, czem żyła — zaledwiem się umiał domyślać.

Zdala twarz, oddawna wychudzona i zmizerowana, wydała mi się jeszcze bledszą i smutniejszą, niż kiedy, ale godziny pracy się nie zmieniły. Niekiedy tylko widać ją było podpartą na ręku i zadumaną — z oczyma wlepionemi w ścianę. Nagle, po takiem zapomnieniu się, chwytała za igłę i z podwojonym pośpiechem i gorliwością do roboty powracała.

W czerwcu, na mieście, spotkałem się z dawno niewidzianym doktorem ubogich, który się tak śpieszył, jak zawsze. Zatrzymałem go.

— Nie bywasz już na mojej ulicy? — zapytałem — nie chcesz nawet przyjść na chwilę spocząć u mnie.

— A! — odparł doktór — właśniem chciał was spytać, co się stało z tą sierotą z naprzeciwka? Mieszka ona tam jeszcze?

— W tym samym domu, ale pod strychem — odpowiedziałem — i tak pracuje, jak dawniej. Mówiliście o rodzinie i o krewnych zamożnych, żeby też kto z nich nie dał jej przytułku!!

— Ofiarowano go — rzekł — ale nie przyjęła. Może miała słuszność — jest biedną, ale swobodną i nie potrzebuje się rumienić za to, że żyje na łasce rodziny.

— To zależy od... rodziny — odezwałem się.

Wy, co ją znacie, powinnibyście choć inne zajęcie znaleźć dla sieroty, która się niewdzięczną igiełką zamęcza, ledwie mogąc pewnie na kawałek chleba zarobić.

— I to trudno — odparł doktór. — Dumna jest, a przytem...

Machnął ręką, ale z miny tej i z ruchu odgadnąć nie umiałem, co miał na myśli.

Po krótkim przestanku, stary szepnął niewyraźnie:

— Nie będzie się męczyć długo!

Pożegnał mnie i poszedł.

Przypomniałem sobie wychudzoną twarz, zapadłe oczy, ręce białe, które zdala nawet wydawały się jakby wyschłemi.

Wiosna nie odżywiła biednej. W miarę, jak się wzmagało gorąco, uważałem, że częściej opadały jej ręce bezwładnie. Dłużej siadywała zadumana, chusteczką ocierała twarz, ciągle okrywającą się potem. Wydawała mi się chorą i osłabioną.

Za pierwszem spotkaniem z doktorem, doniosłem mu o swojem spostrzeżeniu.

— Jutro muszę u niej być — odparł mi krótko i zanotował sobie w książeczce.

Jakoż nazajutrz, czatując, pochwyciłem go, gdy wychodził z przeciwka, i zaciągnąłem na spoczynek do mnie.

— Jakżeście ją znaleźli? — zapytałem.

Nie odpowiadając mi, doktór począł chodzić po pokoju krzywiąc się. Odwrócił się potem ku mnie.

— A cóż? — rzekł — jest źle, ale ja na to

nic nie poradzę. Gdyby była wielką panią i miała ochotę do życia — czasby jeszcze może ocalił ją i przedłużył... egzystencyę. Gdym się jej dziś począł rozpytywać o zdrowie, uśmiechnęła mi się smutnie.

— Jestem wistocie chora, słabnę, wieczorami mam gorączkę, w nocy się ona wzmaga — ale — tem lepiej, krócej się męczyć będę. Żyć nie mam ochoty.

Starałem się jej dowieść, że utrzymanie życia jest obowiązkiem.

— Tak — rzekła spokojnie, gdy człowiek jest na coś światu potrzebny, ale istota, jak ja, będąca sobie ciężarem, a drugim zawadą — po co ma żyć? Nie mam już na świecie nikogo, a dla mnie spocząć, zasnąć na wieki — będzie największem szczęściem. Nie próbujcie mnie leczyć — dodała — naprzód dlatego, że leczenie się z mojem życiem nie da pogodzić, powtóre, że — mnie tem nie uczynicie przysługi.

Chciałem ją przekonać, że powinna była przyjąć od krewnych pomieszczenie na wsi, gdzieby odżyć mogła.

— A! nie! nie! — zawołała — wolę tu sobie umrzeć spokojnie, nie widziana, niż tam być ludziom widowiskiem wstrętliwem. Wyjść z tego położenia, w jakiem pozostaję, najusilniejszą pracą niepodobna — dodała. — Zarabiam tyle, aby z głodu nie umrzeć i zostawić na pogrzeb...

— Na tem się rozmowa skończyła — dodał doktór. Nie widzę sposobu wyrwania jej — nieuchronnej śmierci. Może pociągnąć tak rok, pół-

tora — ale, jeżeli nie zmieni myśli, nie zapragnie sama uratować się, nie pokocha życia...

Nie mówiliśmy więcej, bo nam przeszkodzono. Opowiadanie lekarza uczyniło na mnie tak bolesne wrażenie, żem długo potem na okno w poddaszu nie spoglądał.

Jesienią już, podniósłszy oczy przypadkiem, w oknie ujrzałem naprzód profil znajomy dziewczęcia, a naprzeciw niego nową twarz męską... młodego człowieka, bladego, jak ona, smutnie się w nią wpatrującego. Rysy twarzy miał sympatyczne.

Ciekawość, obudzona tem we mnie, zatrzymała dłużej w oknie, chciałem widzieć niespodzianego gościa tego, gdy z domu będzie wychodził, i odgadnąć stosunek, jaki mógł łączyć tę niedawno rozpaczającą istotę z tym kimś — jej obcym.

W dobre pół godziny dopiero znikła twarz mężczyzny w oknie, a ukazała się we drzwiach domu. Nieznajomy ubrany był ubogo, ale czysto... cała postać zwiastowała w nim wykształcenie i wyszlachetnioną naturę.

Nie miał lat trzydziestu... Wyszedł powoli upojony i zadumany z tego domu, niepewien, gdzie się zwróci; postał trochę w progu i zwolna pociągnął ku miastu.

Z okna dziewczę wyjrzało za nim i znikło.

Miałaż to być opatrznościowa do życia zachęta?

Następnych dni kilka nie zjawił mi się ów gość, a dziewczę siedziało przy krosienkach. Zdala

twarz zdawała się nie tak bladą i jakby leciuchnym okraszoną rumieńcem.

Wstąpiłaż w nią nadzieja?

W sobotę następną wieczór był piękny i pogodny, młody gość zjawił się u drzwi. W kwadrans potem razem z nim wyszło dziewczę. Zblizka je zobaczywszy, przekonałem się, że ów rumieniec i odrodzenie zrozpaczonej było złudzeniem. Twarz wprawdzie idealnego nabrała wdzięku, ale piętno śmierci już na niej było wyryte.

Szła nadzwyczaj powoli, z widocznym wysiłkiem, niekiedy rękę przykładając do piersi i stając, aby odetchnąć. Naówczas towarzysz jej zatrzymywał się także, zwalniał kroku, pochylał się troskliwie, i szli znowu dalej.

Kawałek ulicy, który z okna mojego widać było, przeszli tak wolnym krokiem, iż długo mogłem się im przypatrywać. Mężczyzna był nadzwyczaj zajęty swą towarzyszką, ona też niby udawała ożywioną i wesołą. Znikli mi z oczów.

Doktór, z którym co kilka dni się zawsze prawie gdzieś spotkałem, gdym go zapytał o sierotę, smutnie się uśmiechnął.

— Gorzej jest — rzekł krótko.

Opisałem mu to, com z mojego obserwatoryum mógł spostrzedz.

— Wiem o tem — rzekł. — Młody, poczciwy, ale nieszczęśliwy... bez przyszłości... w niej się rozmiłował... Gotów się żenić, ale ona zna swój stan, czuje, że żyć nie może, i wyjść za niego nie chce Fantazya poprostu. Małżeństwo, jeśliby życia nie

ocaliło, mogłoby je przedłużyć... Bywały wypadki... Ale dziewczę uparte i dziwnie rozmarzone!...

Zmuszony wyjechać na kilka miesięcy, w podróży zapomniałem o tym dramacie, który się przed oknem mojem odegrywał. Tyle ich przechodzi ciągle przed oczyma naszemi, których widzimy tylko pierwsze sceny lub ostatnie.

Wiosna była znowu, gdy, szukając czegoś w pokoju, usłyszałem śpiew w ulicy, jakby żałobny... Wyjrzałem...

Przed domem stała spora ludzi gromada i wóz z karawanem o dwóch koniach; w tej chwili właśnie wynoszono trumnę otwartą, w której wieńcami i kwiatami okryta spoczywała marmurowa twarzyczka sieroty z idealnym wyrazem, jaki śmierć rysom człowieka nadaje, nim się one w proch rozsypią. Leżała w białej sukience, w zasłonkach, ukwiecona, jakby szła do ołtarza, do ślubu.

Tuż przy trumnie szedł blady z wypłakanemi oczyma przyjaciel ostatni. Miał on tyle męstwa, że sam kierował wszystkiem i dźwigał na wóz zwłoki. Pot ciekł mu z białego czoła.

Gdy wóz ruszył z przed kamienicy, on jeden poszedł za trumną dalej. Ludzie się powoli rozpływać zaczęli. Ksiądz zaśpiewał... zaturkotało i karawan pociągnął ku cmentarzowi.

Okna na strychu stały szeroko pootwierane. W jednem z nich wazonik zielony sam pozostał, a zdawał mi się zdaleka pączkiem mirtu spóźnionym.

* *
*

Nazajutrz przyszedł mnie doktór odwiedzić i, zaledwie stąpił na próg, ręką wskazał w stronę kamienicy.

— A co? — rzekł z tym spokojem, jaki częsty widok śmierci daje wszystkim lekarzom — a co? dramat skończony, jak przewidywałem. Sierota poszła na cmentarz, a ostatnie jej dnie promyk złoty oświecił.

— Na tak krótko! rzekłem.

— A komuż on przyświeca stale i długo? — rzekł lekarz. — Nie doznała zawodu; biedny chłopiec kochał ją tem goręcej, że miał utracić. Dłoń jego zamknęła znużone powieki.

Doktór zadumał się trochę i nagle zwracając ku mnie, rzekł żywo:

— Nie jestże to poemat?

1886.

NAUCZYCIELE SIEROTY.

(BAJKA).

I.

Szedł sobie raz chłopczyk ubogi drogą, nie wiedząc, dokąd idzie; bo i dzieci i ludzie często tak chodzą. Był nieborak sierotą, nie miał nikogo, coby mu gościniec pokazał co najkrótszy i najpewniejszy do miasteczka; a trzeba mu było tam iść, bo roboty szukał i schronienia. Ostatnia, najdroższa i jedyna matka mu była zmarła przed tygodniem. Pochowali ją na cmentarzu we wsi, do której się, żebrząc jałmużny, przywlokła. Kilka ubogich, jak ona, kobiet poszły za biedną trumienką; pogrzeb był z łaski, więc bardzo skromny i cichy.

Chłopczyk szedł za matki zwłokami, aż do czarnej jamy, wykopanej w ziemi; widział, jak spuścili trumnę, jak ją co najprędzej zasypano; a gdy poszeptawszy kupka ludzi się rozeszła, usiadł na mogile i do nocy tam przepłakał. O mroku strach mu się zrobiło ciemności i pustki; pobiegł płacząc do

wioski, ale tu wszystkie drzwi zastał zamknięte. Przytulił się do ściany i znużony usnął.

Nazajutrz był głodny; myślał, że, gdy zapuka do pierwszej z brzegu chaty, dadzą mu może chleba kawałek. Zapukał więc, ale wyszła zrzędliwa kobieta; spytała gniewnie, nie umiał nic odpowiedzieć; rozpłakał się i odpędziła go. Siedział więc i płakał. Nadszedł pastuch, który trzodę ze wsi wypędzał w pole, staruszek o kiju, i począł go pytać; dziecię mu ledwie coś o sobie odpowiedzieć umiało. Domyślił się wszakże biedny głodu, dobył z torby chleba i dał go spory kawał chłopięciu.

— Słuchaj — rzekł do niego — wziąłby cię ja do poganiania ze mną trzody, bo mi często staremu trudno sobie z trykającemi cielęty dać radę, ale się zwalasz pastuchem. Lepiej ci przecierpieć trochę, a innej pracy szukać... Oto w tej stronie leży miasteczko. O tym chleba kawałku dojdziesz do niego, tam robotę znajdziesz, abyś darmo nie żebrał... a Bóg uczyni resztę... Nad sierotą Bóg z kaletą...

Trzoda ryczała, kręcąc się po ulicy; pastuch podniósł kij, krzyknął i pociągnął dalej. Chłopak przywykł był słuchać i posłuchał starego, począł jeść twardy chleb czarny i powlókł się gościńcem. Gościniec przechodził ponad cmentarzem — zaszedł więc jeszcze na grób matki i popłakał, pocałował ziemię i powlókł się dalej. Pastuch mu jeszcze raz, zdaleka, z łąki, kijem pokazał gościniec...

Otóż jak się to stało, że chłopczyk sierota, sam jeden szedł drogą... i płakał trochę...

Ale gościniec, z początku szeroki, począł się kręcić i zmniejszać, potem zeszły się z nim inne drogi z prawej i z lewej strony, potem było ich kilka i już nie wiedzieć było jak trafić, aby się nie zbłąkać, idąc do miasteczka... a mieściny nie widać było. Słońce dopiekało i mogło być około południa. Drogą to się przemknął jeździec, to się przesunęła bryczka, to się przewlókł wóz chłopski, a nikt na sierotę nie zważał, a niebożątko też i pytać nie śmiało... Nogi w piasku ustawać zaczęły... strach ogarniał...

Siadłszy pod sosną na kamieniu, spuścił głowę, i znowu na łzy się zbierało... Wtem świergotanie ptaszyny go zbudziło: dokoła niego latał szary jakiś wróbel, czy pliszka, i kręcił się i uwijał, jakoś tak wesoło, tak żwawo, że mimowolnie sierota podniósł głowę i począł mu się przyglądać. Ptaszek — to się spuszczał ku ziemi, chwytał jakąś słomeczkę, pruszynę, puszek i z tą zdobyczą w dziobku śpieszył na gałąź sosnową, a w liściach jej znikał — to znów puszczał się dalej i siadał nad maleńką wody kałużą i popijał, to w piasku się grzebał, obsypywał nim, skrzydełkami trzepał, to, w powietrze się wzbiwszy, śpiewał wesolutko... Gdy mu z oczów znikł ptaszek szary, chłopcu się aż smutno zrobiło — bardzo był ciekawy życia ptaszego... Aż przybliżywszy się, zobaczył gniazdko i swojego znajomego, który sam sobie robił porządek, gałązki układał, nóżkami i dziobem wyścielał i osłaniał... Robota była ciekawa i pośpieszna i bardzo piękna... gniazdko poczęte rosło w oczach, zaokrąglało się, ubierało... A gdy chłopak się zbliżył

ostrożnie, postrzegł z zadziwieniem, że ptaszek, co się tak zwijał koło swojej roboty, wcale się go nie obawiał...

Ludzie, wyjąwszy pastucha, jakoś mu niewiele pomogli; biedne chłopię pomyślało sobie, że nie szkodziłoby się takiego mądrego ptaszka poradzić. Zdjął więc czapczynę, ukłonił się grzecznie bardzo i rzekł cicho:

— Szanowny wróblu dobrodzieju, jeżeli uchybiam w tytule, proszę mi przebaczyć, gdyż mały jestem, niewiele widziałem świata i omylić się mogę; zatem przepraszam, bo może się inaczej zowiesz i wyższy jaki urząd piastujesz...

— Nie, nie, jestem prosty wróbel — rzekł ptak, siadając na brzegu gniazdka — czego chcesz, człowieczyno?

— Rady...

Wróbel pokiwał główką.

— A jakiej?

— Co mam robić z sobą, matka mnie odumarła, jestem sam jeden, ludzie na mnie nie zważają, nie mam się kogo spytać, co począć?

— A przypatrzyłżeś się ty, co ja robię? — rzekł wróbel.

— Trochę, zdaleka.

— Ja także — mówił ptaszek, świergocząc — byłem sierotą; matkę mi jastrząb zabił, kiedym jeszcze był ledwo podlotkiem; chowałem się długo w gęstwinie, żyjąc muszkami i robaczkami, aż trochę w pierze porosłem... Radził mi jeden wróbel, abym szedł sobie gdzie pod strzechę do miasta, kędy więcej ludzi, jadła porozsypywanego i wró-

blów braciszków, ale szczęście, żem sobie matki radę przypomniał, i zostałem na wsi...

— A ja idę do miasteczka — rzekł chłopak.

— Otóżbym ci nie radził — szeptał stary ptaszek.

— A to czemu, kiedy tam żyć będzie łatwiej?

— Zaraz ci powiem, co mi stary opalony wróbel, który z miasta przyleciał tu, mówił i dlaczego ja tam się nie umieściłem... Tam w miasteczku życie łatwiejsze, ale i niebezpieczeństwo większe... Gniazda usłać niema gdzie, czyha mnóstwo swawolnych chłopców, i wróbel się oducza od pracy, bo mu o jadło łatwo...

— A cóż to jest praca? — zapytał chłopak.

— Praca to jest prawo Tego, co i wróbla stworzył i człowieka, wszelkiemu stworzeniu dane.

— A dlaczegoż ja o tem nie wiem?

— Boś jeszcze mały...

— Nauczże mnie, co to jest praca?

Wróbel samouczek począł główką kiwać, musnął się dziobkiem parę razy po skrzydłach i zdawał się namyślać.

— Jak to tobie powiedzieć? — mruczał — jak to tobie powiedzieć?... Wszystko pracuje na świecie... praca to życie, mój mały; potrzeba coś robić, aby żyć, aby się czegoś nauczyć, aby do czegoś dojść, a im więcej kto pracuje, tem mu jest lepiej...

— Praca to więc znaczy robota — rzekł chłopiec. — Ale robota męczy?

— Jeszcze też gorzej męczy próżnowanie — mówił wróbel.

— Zresztą co ja będę robił — spytał sierota — kiedy nic nie umiem?

— A patrzałeś ty na mnie? — odpowiedział ptaszek.

— O! i długo i uważnie: nosiłeś kruszynki i kąpałeś się w piasku.

— No! a gdybyś ty czego nazbierał i poniósł, możeby się znalazł kto, coby tego potrzebował i dałby ci chleba kawałek... ten chleb byłby już nie wyżebrany, ale zarobiony, byłby twój własny.

Chłopiec się zadumał i zdawało mu się, że, jak na wróbla, takiego szarego, niepozornego, ptaszek był bardzo mądry... jakoś mu się to nienaturalnem widziało. Wtem coś zaszeleściało ponad drzewem — wróbel się schował co najprędzej, a chłopak zobaczył tylko małego jastrzębia, który krążył, rozłożywszy skrzydła, i zdawał się czegoś upatrywać pod sobą.

Nagle padł, jak kula, i zatrzepotał się żywo. Dzieciak podbiegł przez ciekawość, spłoszył ptaka i zobaczył pokrwawione ptaszę, które w bróździe konało...

Żal mu się go zrobiło.

Jeszcze nad niem stał, gdy ogromny strzał się rozległ w powietrzu i jastrząb padł na ziemię.

Obejrzał się z przestrachem i dostrzegł niedaleko człowieka, licho odzianego, z którego strzelby resztka dymu wylatywała.

Człowiek ten miał wyraz dziki i ponury, na ustach jego krążył śmiech boleści, a chłopakowi zdawało się, że usłyszał z nich wychodzące wyrazy:

— Dobrze ci tak, po co wróble dusisz.

Ciekawy, co się z jastrzębiem stało, pobiegł chłopak na pole, gdzie go widział upadającym. Na brzegu roweczka leżał jastrząb raniony, krew z niego ciekła, ale gdy się chłopiec zbliżył do niego, dziób nastawił, szpony podniósł i zabierał się bronić. Nie wiedział, jak do niego przystąpić, gdy przypadkiem, rzuciwszy okiem na człowieka, który wystrzelił, rzecz zobaczył nową. Mężczyzna barczysty schwycił za kark strzelca, trzymał go za kołnierz jedną, a drugą ręką wyrywał mu broń; niedawno bezpieczny jeszcze i śmiejący się człowiek był blady i przerażony. Sierota, już nie myśląc o konającym jastrzębiu, ani o ranionym wróblu, cały się zwrócił ku ludziom, ale ci, szamocząc się, z oczów mi znikli za lasem.

Tak wiele jakoś razem rzeczy nowych dla niego obiło się o jego oczy i uszy, że sierota przysiadł na ziemi, aby to wszystko rozważyć i zrozumieć. W polu było cicho, kilka chmur przebiegało po niebie, przysłaniając słońce, które dopiekało. Rozbierając wszystko, co mu się przytrafiło, sierota naprzód zapamiętał wróbla naukę, że pracować potrzeba; potem z historyi jastrzębia i ludzi wyciągnął sobie ten pewnik, że wiele jest i złych ptaków i niedobrych istot na ziemi, których się wystrzegać potrzeba. Położenie jego wydało mu się strasznem, ale obawiać się i płakać na nic się zdało. Obaczył znowu wróbla, który wyleciał z gniazda, nosił słomki i w piasku się trzepotał.

— Czy ci nie strach? — zapytał.

— A co pomoże, gdybym się lękał? — wesoło

odfurknął wróbel — swoje robić potrzeba, a o biedzie nie myśleć, boć się od niej wykręca, przysiadłszy cicho w gnieździe. Juściż kiedyś, jastrząb mnie zje, albo człowiek zastrzeli, albo wielka sowa zadziobie śpiącego w nocy, ale nim do tego przyjdzie, śpiewam sobie i pracuję.

— Jaki to mądry wróbel! — westchnął chłopak zazdroszcząc mu — taki mały, niepozorny, a taki rozumny, trzeba go słuchać.

Wstał tedy i szedł, gdy na gałęzi zobaczył siedzącego bardzo ładnego ptaka z czubkiem, dużego wzrostu, który piórka muskał. Wszedłszy już w znajomość z ptakami, miał sobie za obowiązek i temu się pokłonić, ale ptaszę niewiele na niego zważało; pomiarkował, że to być musiał jakiś znakomity jegomość, kiedy był taki niegrzeczny.

Stanął jednak naprzeciw niego, aby mu się dobrze przypatrzyć, a że wiatr powiewał od gałęzi ku niemu, poczuł zapach niebardzo miły, który zdawał się pochodzić od ptaka. Był to śmierdzący dudek, ale wydawał się pański, z czubem na głowie i strasznie miał minę dumną.

— Dzień dobry jegomości — rzekł chłopak.

— Mógłbyś mię trochę lepiej nazwać, niż jegomością — odparł dudek, napuszając się. — Co to? ty mnie masz za głupią srokę, czy za ladajakiego majstra dzięcioła, który cały dzień w drzewach dłubie i nos sobie psuje? Przecie powinieneś wiedzieć, że jestem dudek i że mój prapradziadek był dudek, a moja praprababka pochodziła od najpiękniejszego dudka, jakiego świat widział.

— O tem nie wiedziałem — rzekł chłopiec —

przepraszam, ale czy nie raczysz, dudku wielmożny...

— Jaśnie, jaśnie wielmożny — przerwał dudek.

— No więc jaśnie — mówił sierota — czy nie raczysz mi pokazać drogi do miasteczka, bom ją, włócząc się po krzakach, zgubił, a boję się, żeby mnie noc nie zastała w polu.

— Co mnie tam drogi obchodzą! — krzyknął dudek — mnie droga wszędzie, gdzie lecieć chcę a gawędzić z lada żebrakiem, jak ty, nie lubię, bywaj zdrów.

To rzekłszy, dudek głową pokręcił i poleciał. Ale gdy już miał odchodzić niegrzecznością jego oburzony chłopak, coś mu żółtego mignęło przed oczyma, i na gałęzi zjawiła się wiewiórka, z orzeszkiem w łapkach. Nie była to wcale pora na orzechy, mocno się chłopak zdziwił, skąd ona dostać go mogła.

Obawiając się, aby wiewiórki nie obrazić, a chcąc się koniecznie od niej sekretu jej dowiedzieć, chłopiec zdjął czapkę, i począł:

— Jaśnie oświecona wiewiórko!

Ta podniosła główkę, trzymając orzeszek w łapkach, i zaśmiała się wesoło.

— Głupi chłopcze — rzekła — dlaczego ty mnie tak nazywasz?

— A, bo mnie dudek rozumu nauczył — odparł sierota — obraził się, żem go tylko jegomością z początku nazywał, obawiałem się uchybić.

— A czego ty tam chcesz?

— Drogęm zgubił i nie wiem, co z sobą robić? Ale, moja dobrodziejko wiewiórko, naucz ty

mnie, proszę, skąd wzięłaś orzeszek, kiedy one jeszcze niedojrzałe?

— Jeszcze zeszłoroczny — rzekła wiewiórka żywo. — Widzisz, uzbierałam ich dużo w jesieni, schowałam w dziuplę drzewa i teraz po jednym sobie na obiad zajadam. Gdybym była wszystkie, którem wówczas znieść mogła, pozjadała, a słowo honoru ci daję, były bardzo smaczne, dziśbym z głodu musiała zdychać. Zróbże i ty tak, gdy sobie czego uzbierasz, zostaw trochę na jutro.

Dobra to bardzo była nauka i sierotka pomyślał, że się jednak dużo od ptaków i stworzeń można nauczyć, gdy się do nich przybliży.

Ponieważ pani jesteś taka rozumna i przezorna — rzekł — czy nie byłabyś łaskawa trochę mi drogi do miasteczka pokazać?

— Ja nie mogę — odpowiedziała wiewiórka — boby mnie tam ludzie mogli złapać i albo do klatki wsadzić, a kazać wiekuiście nudne kółko obracać, alboby się połakomili na mój ogon dla złotników i malarzy... ale niedaleko widzę sroczkę, która przywykła latać wszędzie i wywijać się z biedy. Jest to usłużne stworzenie, przytem paplać lubi; ona ci drogę pokaże, a nawet przeprowadzić gotowa, gdy grzecznie poprosisz.

Wistocie, niedaleko siedziała sobie na gałązce sroka i krzyczała deklamując jakiś bałamutny wierszyk, ułożony przeciwko wronom, przez starego kruka... Nie zlękła się bynajmniej nadchodzącego chłopca, i deklamowała sobie dalej i śmiała się serdecznie.

— Moja dobrodziejko — rzekł chłopiec, poczynając.

— Ale już mi ty nic nie mów — przerwała sroczka—ja wszystko wiem, i rozmowę z wróblem podsłuchałam i historyę jastrzębia widziałam i wiem, coś gadał z wiewiórką... Miasto niedaleko za moim ogonem... ścieżka do niego prowadzi bita... Zresztą ja tam także mam interesa moje i zaraz polecę, to cię zaprowadzę. Ale co ty tam robić będziesz?

— Wróbel mi mówił, że pracować trzeba...

— Wróbel, jakkolwiek mały i niechlujny, nie jest głupi — zawołała jejmość w czarnym płaszczyku. — No, cóż ty robić będziesz?...

Chłopak podumał, pod nogami miał pełno białego pięknego piasku, suchego i czystego; przyszło mu na myśl, że w mieście nim ulice i dziedzińce wysypują... począł więc zgarniać piasek biały do torebki, która mu po matce jako jedyna spuścizna została, a sroka deklamując przypatrywała mu się.

Gdy torebka była pełną, poczęła lecieć przed nim nakrzykując, aż z za brzóz i sośniny pokazały się wieże miasteczka, kościoły i mury — i sierota przeżegnał się z jakiegoś strachu... który go na ten widok ogarnął... Ale sroka była tak wesoła, że i jemu się lżej na sercu zrobiło, patrząc na nią.

— Kiedy ona się tak trzepiocze, spokojna o siebie, czemubym nie miał Panu Bogu zaufać?— rzekł w duchu.

I czapeczkę na bakier włożywszy, wszedł za sroką do miasteczka.

A co mu się tu przytrafiło i jakich nauczycieli tu spostrzegł, to wam może drugą razą opowiem.

Drezno, 3 maja 1865.

II.

Już w samej miejskiej bramie hałas i wrzawa były tak wielkie, w porównaniu z ciszą pól wiejskich, że chłopak, nienawykły do tłumu i ścisku, stanął zatrwożony, namyślając się, czy iść dalej, czy nie; wątpił bowiem, czy sobie radę dać potrafi. Oglądał się na wszystkie strony ciekawie, — wszystko oczy wabiło, mnóstwo było rzeczy pięknych i dziwnych bardzo, — ludzi tłumy, gwar nieznośny, — wszyscy zdawali się śpieszyć, pędzić, lecieć zdyszani... W pierwszej chwili chłopak myślał, że trafił tak na chwilowy zamęt, który mógłby przeczekać, i zatrzymał się nieco — ale wkrótce przekonał się, że to, co mu się zdawało przypadkowem, było zwyczajnem i powszedniem.

Zdziwiło go między innemi i to, że na niego nikt ani spojrzał, że popychano go wprawdzie i o mało nie obalono, ale żywa dusza nie spytała, skąd szedł, po co przychodził?... Wprędce też przekonał się, że tu sobie samemu rady dawać potrzeba, na nikogo się nie spuszczać, nic nie wyglądać od ludzi, a przebojem trochę pchać się dalej. Chwilę

tylko przystanąwszy, uważał, że powoli go szturgając zsunięto prawie do rowu, bo się nie opierał; ale gdy się zwolna bronić począł łokciami, ludzie mu się ustąpili.

Sroczka, która go przyprowadziła do miasta, mając swoje interesa zapewne, natychmiast znikła — chłopak był sam jeden... Jakimś instynktem więcej się jego oczy zwracały zawsze na zwierzęta niż na ludzi i tych jakoś mniej rozumiał, ze stworzeniami zaś bożemi dzieciak sierota był jak z najbliższemi krewnemi. — Czuł, że doskonale ich pojmuje, a mniej się obawiać ma potrzeby.

Jednak tu w mieście nawet zwierzęta inaczej wyglądały. Oprócz srok i wróbli brudnych, okopconych, z poobijanemi skrzydły i wyglądających na strasznie rozpustną zgraję, nie widać było swobodnego stworzenia — ale za to na posługach ludzkich mnóstwo; tym chociaż się działo niezgorzej i dosyć koło nich było porządnie, ale z cywilizowanemi chłopak mniej dobrze się rozumiał. Nawet tuczone wieprze, które na rzeź pędzono do miasta, tak były dumne, zarozumiałe i zajęte jakiemiś ważnemi zapewne sprawami, że do chłopaka gadać nie chciały. Postrzegł także stado owiec poznaczonych na bokach czerwono, ale te biegły strwożone i beczały tylko: nieszczęście! nieszczęście! zginęliśmy! ratujcie! czy niema którędy uciekać? Straciły zupełnie przytomność biedaczki.

Koniom potrzeba się było ustępować, bo leciały jak szalone, strojne w brzękadła, we wstążki, w kółka, nawet w kwiaty, a tak się sobą zalotnie

chełpiły, tak były dumne, tak pewne siebie, jakby ten świat miejski do nich należał.

Postrzegł chłopiec, że wistocie konie odgrywały tu rolę niepospolitą, że były pieszczone i utuczone, a niektóre z nich daleko pyszniej były odziane, niż wielu ubogich ludzi, — zawyrokował więc sobie w duchu, iż lepiejby było dla niego stokroć, żeby się koniem urodził — i westchnął.

Wtem poczuł, że go coś trąciło w ramię.

Obrócił się i postrzegł za sobą straszliwą szkapę, wprzężoną do beczki. — Konisko owo stało z głową spuszczoną i zdawało się uśmiechać do chłopca, którego myśl widocznie odgadło.

— Spojrzyjże na mnie — rzekł mu inwalid, który jednę nogę zgrubiałą miał i kulał na nią okropnie... — Byłem to i ja niegdyś faworytem, pieszczochem, biegusem owym karmionym i głaskanym; nakrywano mnie dywdykami, jadłem w marmurowym żłobie — ale gdym nogę złamał i został kaleką, wszystko się to skończyło. Litościwy pan chciał mi w łeb strzelić z początku — ktoś mnie wyprosił i sprzedano podkurowanego żydkowi, który wodę wozi.

— Moje dziecko — dodał siwy woziwoda — na świecie nic darmo, na wszystko pracować, wszystko zdobyć trzeba, a na litość i serce rachować jak najmniej... Z litości palą w łeb, abyś im swoją męczarnią nie robił przykrości. Ci, co teraz chodzą pod dywdykami, skończą jak ja w żydowskim wozie, jeśli ich ochwat albo nosacizna z tego świata w lepszy nie wyprawi...

Chłopczyk słuchał z uwagą, gdy tuż spostrzegł

o kilka kroków mocno obładowany wózek, osiołkiem małym zaprzężony. Właściciel wozu i osiołka bił niemiłosiernie kijem długouchego, który nie zważając na to stał w miejscu i zdawał się tylko trochę nudzić tem niegrzecznem na grzbiet jego naleganiem.

— Czego on się tak tłucze? — spyłał chłopiec osła.

— Bo głupi...—odpowiedział poważnie osioł — ale ja mam skórę twardą i uczyłem się filozofii w Padwie; nic na to nie zważam. Nie pociągnę ciężaru nad siły. Chłopisko się zmęczy i albo mi ulży, albo drugiego doprzęże. Uważaj tylko, jak znoszę cierpliwie, myśląc o czem innem. Nic mi nie zrobi... boki będą trochę bolały, ale się nie poderwę. Gdybym się tylko zniecierpliwił, tobym się musiał zaciągnąć i zdechnąć, a tego sobie nie życzę. Należę do stoików... człowiek się zmęczy, a ja na swojem postawię, — jeszcze go może, niby przypadkiem, poczęstuję tylnemi nogami, gdy się zbliży... Trochę jestem głodny — dodał — i radbym powrócić do domu, ale ciężar nad siły... wolę przecierpieć...

To mówiąc osioł ziewnął, obejrzał się; — chłop klnąc, kij złamawszy, wóz sam popychać zaczął. — Pojechali.

— Koniec końcem — rzekł chłopiec w duchu — że tu trzeba myśleć o sobie samemu i twardą mieć skórę.

Morał ten wyciągnąwszy z osła, przypomniał sobie, że ma piasek w torebce, który do miasta

przyniósł; ale jak tu go sprzedać? Jeść się też chcieć poczynało.

Wtem drugi, taki niemal odarty jak on, chłopaczek minął go wołając: piasku białego, piasku białego! Nasz podróżny trzymał swą torebkę milczący. Wtem zbliżyła się kobieta do pierwszego z piaskiem przekupnia i targować zaczęła. Dostał za swoją torebkę pół złotego.

Dowiedziawszy się ceny i on też począł wywoływać: piasku białego!... Ale nikt jakoś na jego wołanie uwagi nie zwracał. Poszedł więc dalej nieco. Kobieta niemłoda z dzieckiem na ręku zastąpiła mu drogę i spojrzała nań litościwie.

— Co chcesz za ten piasek? — spytała.

— Widziałem — rzekł chłopiec bojaźliwie — że za mniejszy woreczek zapłacono pół złotka.

— A tyś to skąd? czy to nie wiesz ceny?

— Nie, jam dopiero pierwszy raz przywlókł się do miasta.

— Cóżeś ty za jeden?

— Sierota...

Kobieta przycisnęła do piersi dziecię, które trzymała na ręku, łza się jej zakręciła w oku, dobyła z kieszeni dwie dziesiątki i kazała piasek wysypać w sieni dworku. Chłopak zrobił to bardzo zręcznie, kupkę ułożył i pocałował ją w rękę.

— Patrzajże — rzekła kobieta — nie zmarnuj grosza... niech cię Bóg błogosławi, biedaku.

Znalazłszy trochę litości w sercu ludzkiem, chłopak się zadziwił, ale pomyślał, że w tym świecie ludzi jakoś lepiej być musi niż u zwierząt. Śmielej tedy wyszedł z sieni. W progu spostrzegł

chłopaka, który był tylko co piasek sprzedał także, i ciekawie patrzał na niego. Chłopak miejski miał straszną minę urwipołcia, podobny był do obitego i zakopconego wróbla miejskiego.

— A coś ty zarobił? hę? dwie dziesiątki? — spytał go chłopiec — głupi babsztyl, że ci tak drogo zapłacił, za to, że masz minę biedną... Chcesz ze mną zagrać?

— Jakto zagrać?

— Ja mam także dwie dziesiątki, sprobujemy szczęścia, rzucim je do góry... Jeśli dziesiątka padnie na litery, to twoja; jak na orła, to moja. Będziesz miał cztery dziesiątki zamiast jednej.

— A jak przegram! — rzekł chłopak.

— To nie będziesz miał żadnej — odparł śmiejąc się drugi.

— A na cóż ja mam grać i także twoje odbierać?

Wtem gdy rozmawiali, chude psisko trąciło w nogę naszego biedaka. Ten się odwrócił, a pies mu mruknął: »nie graj, a idź dalej; coś zarobił, to twoje, a cobyś wygrał, byłoby wydarte drugiemu«.

— Nie chcę grać — rzekł, ostrożnie tuląc dziesiątki, posłuchawszy psa, chłopiec.

— A gdzież ty idziesz? — zapytał pierwszy.

— Idę szukać schronienia...

— Cóż to ty nie masz nikogo?

— Nikogo.

— Toś ty nie tutejszy?

— A nie.

— A krocset dyabłów — zakrzyczał chłopak —

a co ty tu będziesz piasek przedawał na cudzych śmieciach, przybłędo jakiś... dam ja ci tu!...

I porwał się na niego z pięściami. Ten w krzyk.

Szczęściem gospodyni, co piasek kupiła, wybiegła na ratunek, ale go obroniła od guza tylko, bo dwie dziesiątki wyrwawszy, napastnik drapnął, i byłby z pewnością szczęśliwie uszedł sobie, gdyby stary ów pies za siermiężkę go nie schwycił. Tuż i ludzie nadbiegali na hałas. Chłopiec przypomniawszy sobie naukę, że się samemu ratować potrzeba, pośpieszył za psem, przydusił złodzieja i dziesiątki mu wydarł. Ponieważ już się ludzie kupili, a kobieta, co patrzała na wypadek, nadchodziła i młody rozpustnik nie miał nadziei obronienia się kłamstwem, rzuciwszy dziesiątki ze strachu wszystkie razem, uciekł.

Tak tedy nietylko strata była odzyskana, ale piętnaście groszy czystego zarobku. Chłopak jednak pomiarkował, że ich także nie powinien był sobie przywłaszczyć.

Zaczęli go ludzie i owa kobieta z dzieckiem rozpytywać, jak to było. Opowiedział otwarcie, co go spotkało, dodając, że tych cudzych piętnastu groszy brać nie myśli, to tylko nie wie, co z niemi zrobić — komu je oddać...

Bardzo się to wydało uczciwem wszystkim, szczególniej kobiecie, która go pogłaskała po głowie i rzekła:

— Dobrze zaczynasz, to cię Pan Bóg pobłogosławi. Ja znam matkę tego urwisza Franka, zostaw pieniądze u mnie, weźmie on za swoje łotrostwo dobre cięgi. A ponieważ jesteś taki po-

czciwy — dodała — pamiętajże ten dom; jeśli ci będzie chłodno i głodno, przyjdziesz się tu zagrzać i posilić.

Na tem się pierwsza miejska awantura skończyła.

Chłopiec powoli, ale ostrożny, poszedł dalej. Obejrzał się, — stary pies szedł za nim i ruszał ogonem. Z początku zdaleka się suwał, potem bliżej, nareszcie począł go wyprzedzać i zaglądać mu w oczy.

— Czego ty chcesz ode mnie? — spytał chłopiec.

— No nic... ja cię przeprowadzam — odpowiedział pies — byłem niegdyś przyjacielem twego ojca...

— Znałeś go?

— O! o! długie lata chodziliśmy razem — ale to smutna historya... Pies się przywiązuje... żal mi cię, nieboraku sieroto... pójdę z tobą.

Towarzysz ten bardzo się przydał chłopcu, który mu był rad i pogłaskał go. Burek polizał go po ręku, i skacząc pobiegł przodem.

Tak idąc ulicą przyszli do straganów. I pies i chłopiec się zatrzymał, tyle w nich było dla głodnych ponęty. Bułki białe, pozłacane po wierzchu, obwarzanki zarumienione, kiełbaski pachnące, serki białe... Do najpierwszej przekupki przyszedłszy, rozmyślał dzieciak co kupić. Pies mu w oczy patrzał...

— Jesteś głodny? — spytał.

— Bardzo.

— Nie masz dużo pieniędzy?

— A nie, — dwie dziesiątki.

— Kup, co tańsze — dodał doświadczony Burek — nakarmi się człowiek byle czem, aby żył; a jak zje grosz na łakocie, gorszy potem głód trapi, gdy nic niema w kieszeni.

— I tyś głodny? — spytał dzieciak.

— No, ja do tego przywykłem — westchnął stary — na mnie nie zważaj; ja w rynsztokach się żywię.

Pogłaskawszy psa, kupił tedy bułkę i kawałątko sera do niej, aby go zbyt nie dławiła, — potem we dwóch ze psem poszli sobie pod balustradę ogrodu na kamień i chłopak jeść zaczął. Pies się nie napierał i myślał o czem innem, ale widać było, że mu ślina do gęby ciekła. Zlitował się nad nim dzieciak i dał mu chleba. Staruszek ceremoniował się trochę, zrazu nie chciał tknąć, ale głód, głód wszechmogący go zmienił; pożarł skórkę i polizał rękę.

— Teraz tyś pewnie zmęczony, kładnij się i śpij — rzekł pies — ja cię będę pilnował.

Smaczno i spokojnie pod tą strażą usnął sobie chłopczyk w najlepsze, i przespał tak sam nie wiedział ile godzin, nie przebudzając się nawet. Zbudził się dopiero, gdy mu wschodzące nazajutrz słońce powieki zapiekło. Towarzysz jego czujny już siedział, ziewając i wyciągając się i powitał go ruszając ogonem i liżąc po rękach.

— A co? — rzekł — pora do roboty.

— Do roboty? — spytał chłopak — aleć to ja jeszcze na dziś mam za co chleba sobie kupić i tobie.

— To prawda — odpowiedział stary Burek — ale na tem nie dosyć; nie wówczas pracować, kiedy już głód dokucza... Trzeba mieć zapas.

Chłopak przypomniał sobie wiewiórkę i wstał żywo.

— Cóż tu robić? chyba znów piasku przyniosę! — pomyślał sobie — bo na co ja się komu przydam?

I zabierał się już iść, gdy wczorajsza kobieta zobaczyła go i zawołała. Szła ona na targ. Kazała mu za sobę nieść koszyki; jednego z nich podjął się pies.

— Będziesz miał śniadanie — rzekła — i ty i twój przyjaciel Burek, który zrozumiał, ogonem poruszał.

Zarobili więc sobie na śniadanie bezpłatne, a kobieta jeszcze chłopaka jako uczciwego poleciła starej przekupce, która mu więcej dała roboty i obiecała złotówkę całą. Szło więc jak z płatka.

Około południa miał chłopiec chwilę spoczynku i siadł pod balustradą ogrodową. W ogrodzie chodził paw z roztoczonym ogonem i niezmiernie się sobą pysznił. Chłopak, który nigdy podobnego ptaka nie widział, bardzo mu się dziwował i ledwie nie ukłonił, ale pies go zatrzymał.

— Dałbyś pokój... — rzekł — to próżny i nadęty darmozjad, którego nikt nie lubi; dąć się tylko umie — głos ma brzydki, a chowają go tylko dla osobliwości, bo się na nic nie zdał. Ledwie pióro z jego ogona za czapkę sobie kto wetknie. Jeśli już chcesz ptastwu się dziwować, czemu się

nie przypatrzysz oto tej jaskółce, która tam lepi gniazdko pod cieniem.

Wistocie chłopiec spostrzegł pracowitą ptaszynę, która się zwijała nieustannie, nosząc w dziobku potrosże słomy i mokrej ziemi, z których lepiła bardzo foremne gniazdko.

— Kto też to ją tego nauczył? — pomyślał sobie w duchu.

Jakby myśl jego odgadła jaskółeczka, przyleciała blizko i siadła odpocząć.

— Moja ty śliczna — zapytał chłopiec — kto to ciebie tego majsterstwa nauczył?

— A naprzód Pan Bóg — rzekła — a potem rodzice, matusia i tatuś; widzieliśmy, jak trochę poszkodzone gniazdo poprawiali... przyszła i na nas kolej pracy...

Spojrzała jaskółka, zatrzepotała skrzydłami i krzyknęła. Zobaczyła w tej chwili łajdaka wróbla, który korzystając z jej nieobecności, wpadł do jeszcze niedokończonego gniazdka i w niem się uposażył gwałtem.

— O ja nieszczęśliwa! — zawołała — siostry i bracia, ratujcie!

Ledwo to rzekła, zebrała się ćma jaskółek i wszystkie niosąc potrosze błota, w mgnieniu oka zamurowały w gnieździe złodzieja, który próżno się szamocząc, zadusił się w niem i zdechł.

Chłopak zaczął dumać... Co tu w tem wszystkiem było nauki dla niego... Jaskółka go naprowadziła na tę drogę, że trzeba było uczyć się od ludzi jakiego rzemiosła, potem los wróbla mu powiedział, że złym się nigdy nie powodzi.

— Bardzo to są rozumne stworzenia! — mówił sobie w duszy chłopak — a przecież słyszałem nieraz, że przezywano człowieka: »to zwierzę, to bydlę«, ale widać, że się im nikt zblizka nie przypatrzył. Tak małe to a takie mądre...

Pies, jakby go odgadł, choć tylko patrzał mu w oczy.

— Spojrzyjże no jeszcze za płot — rzekł — a tam coś także ciekawego zobaczysz.

Za płotem stały ule, około nich, strach... co się pszczół uwijało i kręciło. Jedne nosiły miód, drugie wosk, te wlatywały, te wylatywały; czynność była niezmierna: ruch, gwar, jak zwyczajnie w ulu. Ponieważ ule były szklane, chłopak mógł się dobrze przypatrzyć robocie jeszcze misterniejszej, niż gniazdko jaskółki, komórkom woskowym, jedna w drugą poustawianym, jakby od cyrkla, i złotemu miodowi, który się w nich świecił.

— Jeszcze im człowiek dużo z tego dla siebie odbierze — rzekł pies — a na zimę będzie dosyć; takie to skrzętne stworzenie.

— Cóż to dopiero, gdyby człowiek ze swoim rozumem chciał tak pracować jak one! — rzekł sobie chłopiec.

Wstał i otucha wielka przejęła mu serce.

— Chodźmy, Burku! damy sobie rady.

I poszli...

1866.

Nowe podręczniki dla szkół elementarnych.

	Rb.	kop.
Anczyc Wł. L. A. B. C. Pierwsza nauka dla dzieci. Wydanie nowe. Karton	—	50
— (Kazimierz Góralczyk). Dzieje Polski w 24 obrazkach. Karton	—	50
Bogucka C. i Niewiadomska C. Pierwsza książka do czytania. Klasa podwstępna. Wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione. Karton	—	40
— Druga książka do czytania (dla dzieci od lat 8—10). Klasa wstępna. Wydanie trzecie, przejrzane i uzupełnione. Karton	—	60
Bogucka C., Niewiadomska C. i Warnkówna J. Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania. Stopień I. Wydanie drugie	—	15
— Toż. Stopień II. Wydanie drugie	—	20
— Podręcznik do wypracowań dla szkół elementarnych	—	20
Bogucka, Niewiadomska i Warnkówna. Tablice ortograficzne (I—X) dla szkół elementarnych i nauki domowej. Cena kompletu Rb. 1. Na tekturze	3	50
Pojedyńcze tablice kop. 12. Na tekturze	—	40
Drzewiecki K. Początki gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami i przykładami. Wydanie trzecie, przejrzane i poprawione. Karton	—	60
— Pisownia polska. Wykład elementarny z ćwiczeniami i dyktandami. Karton	—	70
— Składnia krótka języka polskiego. Z przykładami i ćwiczeniami. Wykład elementarny. Wyd. drugie	—	40
— Nauka czytania i pisania, z objaśnieniami dla nauczycieli i z wzorkami lekcyi, z 61 rysunkami. Karton	—	35
Elementarz mały, czyli nauka czytania i pisania, z obrazkami i wzorkami pisma, ułożył «Przyjaciel ludu»	—	05
Lejowa E. Krótki przegląd kuli ziemskiej, czyli początkowa nauka geografii powszechnej w pytaniach i odpowiedziach, podług najlepszych źródeł opracowana. Wydanie dziesiąte. Karton	—	40
Niewiadomska Cecylia. A. B. C. Uczmy się czytać i pisać, z wieloma obrazkami. Karton	—	30
— Elementarz, nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisma. Karton	—	20
— Pierwszy rok gramatyki	—	15
— Drugi rok gramatyki	—	20
— Trzeci rok gramatyki	—	25
Rudnicka Ant. Zbiór zadań arytmetycznych, z krótkiemi wskazówkami metodycznemi, rok I.	—	15
— Toż. Część II.	—	20
Stattlerówna Helena. Początkowa nauka arytmetyki w układzie metodycznym. Wydanie drugie	—	20
— Toż. Część II	—	30
Warnkówna i Jahołkowska L. W ogródku dziecięcym. Zbiór zabaw, marszy i piosenek, z zastosowaną do nich melodyą. Wydanie drugie. Karton	1	—
Wehrowa Marya. Pierwsze czytania dla dorosłych. Stopień I	—	25
— Toż stopień II.	—	—

Rb. kop.

Antoniewicz K. Ksiądz. Czytania Świąteczne dla wszystkicd stanów. Wydanie nowe . . . . — 40
— Listy w duchu Bożym do przyjaciół. Wydanie nowe . . — 30
— Obrazki z życia ludu wiejskiego. Wydanie nowe . . . . — 20

Askenazy Sz. Książę Józef Poniatowski, 1763—1813. Wydanie skrócone przez W. Sł. . . . . — 20

Bardzki Bolesław. Cztery nauki gospodarskie dla włościan . . — 30

B ó g s i ę r o d z i. Opowiadanie historyczne z powieści Wallace'a »Ben-hur«, przerobione przez H. Sł. z przedmową ks. A. Brykczyńskiego . . . . — 50

Bukowiecka Zofia. Michałek. Opowiadanie z czasów Jana Kazimierza . . . . — 20
— Henryś Skowronek. Opowiadanie . . . . — 15
— Jak Piastowie budowali Polskę. Opowiadanie . . . . . — 50
Karton . . . — 60

Bukowiecka H. Księstwo Warszawskie. Opowiadanie historyczne popularne. Z 12-ma rycinami. Karton. . . . . — 60

Chełmicki Z. ks. Requiescat in pace. Opowiadanie. Wyd. 2-gie . — 30

Chociszewski Józef. Historya Polska w pięknych przykładach przedstawiona. Zbiór wzorów dzielności, pracy, nauki i poświęcenia dla kraju, jakiemi się nasi przodkowie odznaczyli (w druku) . . . .

D z i e l n y ż o ł n i e r z. Opowiadanie historyczne z powieści H. Sienkiewicza »Pan Wołodyjowski«, przerobione przez H. Sł. — 20

Gloger Zygmunt. Skarbczyk. Baśnie i powieści z ust ludu i książek. Wyd. 3-cie, pomnożone . . . . — 20

Gondek Feliks ks. Gorzałka źródłem wszelkich zbrodni wobec Boga i ludzi. Wyd. 6-te . . . . — 25
— Józefata dolina, czyli sąd ostateczny. Wyd. 7-me . . . . — 20
— Wieczór św. Sylwestra czyli wypisy z mojego dziennika. Wydanie nowe. . . . . — 70

Góralczyk Kaz. (Wł. L. Anczyc). Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach. Wydanie nowe. Karton. . . . . — 50

Łyskowski Ignacy. Gospodarz. Wydanie nowe. Karton . . . . — 60
Treść: Rolnictwo. Hodowanie i choroby koni, bydła i owiec. Ogrodnictwo. Pszczelnictwo, Rozmaitości gospodarskie.
— Trzy nauki gospodarskie napisane dla włościańskich gospodarzy. Wydanie nowe . . . . — 15
Treść: O płodozmianie czyli wielopolowem gospodarstwie. O nawozach. O uprawie roli.

Mickiewicz Adam. Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie — 15
W oprawie . . . — 30

Z a w o l n o ś ć i o j c z y z n ę! Z powieści Stefana Żeromskiego »Popioły«. Z 12-ma rysunkami . . . . — 50

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

	Rb.	k.
Askenazy Szymon. Książę Józef Poniatowski (1763—1813). Wydanie skrócone przez W. St.	—	20
Bóg się rodzi. Opowiadanie historyczne z powieści »Ben-Hur« przerobione przez H. S. z przedmową A. Brykczyńskiego.	—	50
Bukowiecka H. Księstwo Warszawskie. Opowiadanie historyczne popularne z 12 rycinami. Karton.	—	60
Bukowiecka Zofia. Henryś Skowronek. Opowiadanie	—	15
— Jak Piastowie budowali Polskę. Opowiadanie	—	50
— Michałek. Opowiadanie z czasów Jana Kazimierza	—	20
Chełmicki Zygmunt Ks. Katechizm mały. Streszczenie «Ojców naszych wiary Świętej»	—	2½
— Ojców naszych Wiara Święta. Katechizm przystępnie wyłożony i przykładami objaśniony	—	40
Karton	—	50
— Requiescat in pace. Wydanie drugie (polecone do czytelni ludowych)	—	30
Dzielny żołnierz. Opowiadanie historyczne z powieści H. Sienkiewicza »Pan Wołodyjowski«, przerobione przez H. St.	—	20
Gloger Zygmunt. Skarbczyk. Baśnie i powieści z ust ludu i książek. Wydanie trzecie, pomnożone	—	20
Góralczyk Kaz. (Wł. L. Anczyc). Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach. Z 24 rysunkami kolorowanymi i tabelą monarchów panujących. Karton.	—	50
Krasiński Zygmunt. Pisma. 4 tomy	1	—
W oprawie	1	60
Mickiewicz Adam. Pisma. Nowe wydanie z życiorysem autora, skreślonym przez Piotra Chmielowskiego. 4 tomy	1	—
W oprawie	1	60
— Tom III oddzielnie, zawierający Pana Tadeusza	—	15
W oprawie	—	30
Obrona Częstochowy. Opowiadanie z czasów wojny szwedzkiej, przerobione przez S. J. z powieści »Potop« Henryka Siekiewicza	—	20
Orzeszkowa Eliza. Pisma. Wydanie popularne. 4 tomy	1	60
W oprawie	2	30
Słowacki Juliusz. Pisma, z przedmową Piotra Chmielowskiego. 4 tomy	1	—
W oprawie	1	60
Święty Piotr w Rzymie. Opowiadanie z czasów prześladowania chrześcijan za Nerona, przerobione z powieści H. Sienkiewicza »Quo Vadis« przez H. St.	—	40
Za wolność i ojczyznę! Z powieści Stefana Żeromskiego »Popioły«. Z 12 rysunkami	—	50

Termin zwrotu lub zgłoszenie prolongaty.